

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

# SZEŚĆ GODZIN

Powieść.

— Ludzie o nim szepczą wieczorem i upiora z niego zrobili. Jaśnie pan na samo wspomnienie o nim, zgrzyta zębami. Nikt nie śmie głośno o nim rozprawać. A leśniczówkę wymijają jak zaklęte miejsce i jeno kto musi, ten koło niej przejdzie, choć tamtędy droga do miasta najbliższa.

I znowu stary podniósł głowę do góry tym ruchem, czyniąc ją baczniejszą na swe słowa. — A teraz, ledwo się pokazał, wieś cała zawrzała i tak się poruszyła, jakby już szło zastracenie.

Te słowa pani usłyszała.

— Któż go widział?

— A onegdaj Szymon stary, spiesząc z miasta, jechał koło leśniczówki i zobaczył światło w oknie na dole. — Wiadomo przecież, że tam od śmierci siostry pani dziedziczki, nikt nie mieszka. Przeraził się też Szymon tem światłem, przelaty ozy, — ale tu nic, jeno świeci i cień jakiś miga po pokoju.

...Szymon stary skalkulował, że to i złodziej jakiś być może, bo przecie tam dobytek tak stoi, jak stał. Złaził więc stary z wozu i podkradł się pod okno i zobaczył... jego. Poznał go od razu, choć obrośniętego i zmienionego, bo go też przecie znał od dziecka maleńkiego...

— A czyż to dziecko ten Daniel? — zapytała pani pomimowoli.

Ale Wojciech pominął to pytanie, jakby je nie słysząc.

— Mówił Szymon, że siedział przy stole i czytał jakieś papiery. A tak się uśmiechał, że aż mróz szedł po kościach...

...Ucieł stary od okna i w te pędy dał znać panu prezesowi, że to może jakieś nieszczęście znowu się święci.

— Ach, to dlatego pan od wczoraj był taki niespokojny — przypomniała sobie.

— Pewnie, że dlatego, bo jak tylko o nim posłyszał, tak zbladł jaśnie pan jak ściana i zamknął się w tym pokoju.

— Co? W tym?

— Tak.

Obejrzała się pani po pokoju i nagle zauważyła, że na zegarze dochodzi już jedenasta. Brakowało do niej już tylko dwudziestu minut.

Dalekie myśli odleciały od pani, a nagły błysk w jej oczach, zaświadczył o skupieniu w obecnej chwili. Pewnie spostrzegła się, że czas uchodzi.

— Dlaczego w tym pokoju? Poco? — zapytała.

— Tego już nie wiem. Ino jak przyszedłem pana prosić na kolację, to strasznie blisko siedział przy tym stoliku i przeglądał jakieś szkatulki i papiery. — A ta szafka była na rozcięciu otwarta.

— Tak. Cały dzień wczoraj i dzisiaj był zły i niespokojny — pocichu przypominała pani sobie.

— A dziś od rana już my chłopów zamawiali na tę obławę.

— Dokąd poszli?

— Pod leśniczówkę. Tam się ukrywa i pokazuje już też pewnie podchodzą do niej.

— I to wszystko przedemną iajono.

— Musi być, że pan prezes ma ważne powody do tego. Bo też pan pilnie uje jaśnie pani, jak oka w głowie. Przecież i dziś kazał mi być przy pani na każde zawołanie... Że jakoby co, to głową odpowiadam...

Ważyl w sobie jakąś myśl i umilkł stary. A w tej chwili wraz z świeżem, pachnącem bzami i wiosną powietrzem, wpadł przez okno powiew jakichś odległych strzałów.

Kłasnęła ich nabrzmiała droga przebiegająca przez las, zelektryzowała panią i Wojciecha.

— Strzelają...

— To pewnie do niego...

— Boże, Boże...

I zasluchani podali się oboje ku oknu.

Wtem pani przypominając coś sobie, spojrzała znowu na zegar.

Jeszcze tylko dwunastu minut brakowało do jedenastej godziny.

— Może okna pozamykać i pani pójdzie do siebie?

— Dobrze... albo nie, nie. Ja tu, w tym pokoju zostanę.

— O, pani złotefka, tylko nie tu.

— Dlaczego? Przecież oni tam do niego strzelają.

— Tak, to prawda, — ale pan prezes strasznie ostro mi nakazał...

Wskazała ręką na rewolwer, leżący na stole

— Nie obawiajcie się, Wojciechu.

— Gdzie ta rączka paniusi do tego.

— Wystarczy. Teraz zostawcie mnie samą. Wracajcie do siebie. Gdyby mi było was potrzebna, zadzwonię.

— Paniusi złota, a możebym tak mógł gdzieś w bliskości usiąść?

— Dobrze, usiądźcie w sąsiednim pokoju. Kiwnąwszy siwutką głową, cofnął się stary ku drzwiom.

Ale pani nagle zdecydowała się na coś.

— Albo nie. Idźcie lepiej do siebie. Ja okna sama zaraz pozamykam i też pójdę do siebie. Po drodze wstąpię jeszcze do was.

— O tak, to będzie najlepiej.

I stary w ukłonie wyszedł z pokoju.

Na zegarze jednej minuty brakowało do jedenastej.

## IV.

Zaledwo weszło w ciszę echo kroków oddalającego się Wojciecha, a już na zegarze wybiła jedenasta godzina.

Panią przeszedł dreszcz powrotu do rzeczywistości. Nie wi działa co ma uczynić i w tym niezdecydowaniu podeszła do stołu i ujęła rewolwer, nad czymś się namyślając.

Jeżeli to on jest tym dzikim Danielem, to tym razem nie na wiele mu się przyda jego brawurowa śmiałość.

Taki na łok myśli kłębił się w małej główce pani, że ani jednej jej jasno pochwycić nie mogła.

Czuła tylko napewno, że on lada chwila pokaze się w oknie.

A wtedy... wtedy stanie się coś, co dopełni jej dzisiejszą naukę życia, rozewrze do reszty jej zamknięte po dziś ozy.

Na zielonkawej łusce o poświęty księżyc, leżące na podłodze, w unął się nagle cień ludzkiej głowy.

Pani spojrzała w okno. Obcy już przez nie przeskakiwał.

— Jak pani widzi, jestem punktualny.

W księżycu błysnęła srebrna lufa rewolweru.

— Rozumiem pani ostrożność.

— Pan przyszedł zginać?

— Przeciwnie, odżyć przyszedłem.

Pociemniały pani oczy. Zdawało się tej samej, że wchodzi w nią jakieś mocne postanowienie. Między jej brwiami, na bielutkim czole zarysowała się zmarszczka pionowa.

— Wiem kto jesteś, morderco.

— Widzę, że nie straciła pani czasu i postarała się o informacje.

Nie dała zwieść się jego głosowi.

— Ty jesteś... dziki Daniel.

Myślała, że go zaskoczy tą wiadomością, tymczasem on uśmiechnął się tylko i zdziwił.

— A czy nie powiedziano pani, że dziki Daniel jest jak zbój obrośnięty i obszarpany? Przecież i ludzie i sam pan Wilhelm Szporn o nim tak mówią.

— Więc ktoś ty jest? Pocoś wszedł przedtem i teraz?

— Po to samo wszedłem przedtem, co i teraz. Wyszedłem tylko na chwilę, aby załatwić pewne bardzo ważne sprawy. Szczęśliwie udało mi się i teraz służę pani.

— A zatem?

— Ptasz kto jestem?

— Tak.

— Najwięcej panią narazie obejdzie to, że jestem też poszukiwaczem mordercy siostry pani Anny i męża jej Piotra.

Pani zdumi na i zaskoczona tą odpowiedzią, cofnęła się o krok.

— Jakto?

— Mieszkalem niegdyś w tej okolicy i byłem ich przyjacielem. Byłem też przyjacielem męża pani, pana Szporna. Piotr był dowódcą, bardzo sympatycznym. Kochał jakąś żywotną młodość i naturę, a przedewszystkiem i duszę. I mimo tego, że był przecież bardzo zamkniętym człowiekiem, mieszkał wraz z Anną w niedalekiej stąd leśni-

cówce. Sąsiadowałem z nimi i śmiało powiedziałem, że kochaliśmy się niemal jak rodzeństwo.

...Z najrozmaitszych powodów jednak, musiałem stąd nakrótka wyjechać. A później była wojna. Wstąpiłem do wojska, by bić się, jak się to mówi, za ojczyznę i wraz z losami wojny, włóczyłem się po rozmaitych frontach, w bitwach, niewolach i szpitalach.

...Pewnego razu odwiedziłem te okolice i dowiedziałem się o rozmaitych sprawach, dotyczących się męża pani, pana Szporna, którego i wojna nie zdołała stąd wyruszyć. Był kiedyś moim przyjacielem. Ale sprawy, o których dowiedziałem się, nie pozwoliły mi odwiedzić go.

Obcy mówił spokojnie i swobodnie, a pani patrząc nań, chciwie słuchała słów jego, tak, jak dziecko zawsze chciwie słucha o ciekawym je, a niepoznanym jeszcze świecie.

— Piotr wówczas nie żył już dawno. Bolało mnie to, że mordercy jego nie potrafiono ukarać i że przebywał na wolności. Miałem zamiar swą ręką przyczynić się do sprawiedliwości.

...Niestety, — musiałem znowu stąd wyjechać. W niedługim czasie potem, dowiedziałem się o tragicznej śmierci siostry pani, Anny — którą naprawdę jak siostrę kochałem.

Pani wierzyła jego słowom. Wierzyła prawie napewno. A jednak nie umiała się oprzeć zdziwieniu, przyjmując tak nowe dla siebie wiadomości.

— To dziwne, że nigdy nic nie słyszałam od Anny o jej przyjacielem, przecież ona mnie wychowała i niemal matką mi była.

— O, siostra pani napewno o wielu sprawach nic nie mówiła.

— Dlaczego?

— Czy o mnie pani nie wspominała, ja nie wiem i pani nie wie. Przecież mnie pani nie zna, a ja niczem nie staram się przypomnieć. — A o innych sprawach?... Była pani wówczas młodą i bardzo wziętą dziewczynką, zagrożoną chorobą piersiową. Przecież jako dziecko jeszcze prawie, oddano cię pod opiekę zakonnic, do klasztoru w podgórskiej okolicy.

...Z tego powodu też nie byłaś długo w domu u siostry swojej, która mieszkała w tej zimnej, wilgotnej okolicy.

...Anna matkę ci zastępowała i odwiedzała cię tam, w klasztorze... Ale oszczędzała cię i nie mówiła nigdy o sprawach, któreby cię zanadto mogły obejść i zdrowie pani na szwank narazić.

Tak, ten obcy doskonale znał to co opowiadał i pani mu rację przyznawała.

— To prawda. Anna powiedziała mi, że Piotr umarł nagle, tymczasem...

— Tymczasem on został zastrzelony.

— I Anna sama...

— Też celowo została usunięta.

— Za co? Dlaczego?

Ledwo połapać się mogła w tem wszystkim. Już przecież dawno stały się te wszystkie straszne sprawy. Ale zakryte przed nią wzbierały w tajemnicy życia jak wrzód potworny i oto teraz, naraz, jednej nocy, pękały, — pograżając ją w chaosie ciemności tajemnic.

Obcy postąpił jeden krok ku niej i swoim spokojnym, głębokim głosem powiedział:

— Chcę właśnie i o tem z panią pomówić.

Za oknem wciąż klaskały przedzierające się z daleka echa strzałów.

Pani nie myślała już o obcym, że on jest mordercą jej szwagra i siostry. Tam przecież w leśniczówce i j mąż walczy z dzikim Danielem.

Jakiś głęboki spokój płynący od obcego, ośmielał ją coraz bardziej.

— Słucham pana.

— Jedno mi jednak proszę przyrzec.

— Co takiego?

— Proszę o prawdę i szczerłość. Niech pani zapomni na czas mojej tu obecności, że jestem jej obcy. Może nikt tak jeszcze z panią nie rozmawiał. Może często słowa moje zżyznia panią, ale właśnie poprzez to zdziwienie, niech pani uwierzy w wyjątkowość tej naszej rozmowy.

Pani milczała, oddychając głęboko. Czuła, że słowa obcego są napewno prawdą.

— Upewniam panią jeszcze raz, że nie ja jestem mordercą. Czynię to dla spokoju pani. Zbrodniarz jest w tej chwili w leśniczówce, wśród obwołu chłopów z całej okolicy i tym razem pewnie nie ujdzie już sprawiedliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi).